

## Wystawka (fragmenty)

### Wystawka

Cała ta historia zaczęła się tak naprawdę przez Puziola. Ten facet ma jakiś nadprzyrodzony talent do pakowania się w dziwne, głupie, czasem groźne afery, co najgorsze jednak, będąc jego jedynym przyjacielem, muszę doświadczać nieprzyjemnych skutków jego nadpobudliwości, bezkompromisowości i różnych, mało racjonalnych, zachowań. Tym razem przyczyną była pazerność. No, ale Puziol z natury nie jest pazerny, jednak kilka dni wcześniej zupełnie niepotrzebnie okłamał pracodawcę, twierdząc, że doskonale radzi sobie z obsługą koparki. A może myślał, że to prosta sprawa, bułka z masłem? Nie wiem... Pracodawca w sumie dał się nabrać, ale tylko do momentu, w którym kombinujący przy wajchach Puziol zrzucił całą wygrzebaną ziemię na kabinę w której siedział, no i właśnie dlatego znowu nie ma pracy... W ostatnich dwóch miesiącach stracił dwanaście posad, myślę, że skurczybyk jest rekordzistą miasta Greensted, kto wie, może i całego hrabstwa? Oprócz tego, że zdecydowanie za dużo pije, że jest śmierzącym leniem, straszliwym pieniaczem, cholerykiem i histerykiem, to jeszcze ma straszliwego pecha. Miesiąc temu zatrudnili go w miejscowym ZOO. Praca nieprzyjemna, ale prosta jak drut – wchodził z atrapą jakiegoś ssaka na plecach, w atrapie zbiornik na nasienie, totalny banał, musiał tylko poruszać trochę kuprem, zachęcić samca do akcji, wytrzymać ciężar napaleńca, no i zaksięgować te swoje pięćdziesiąt funkcików. Ale nie – nie wiedzieć czemu nie spodobał się zwierzakowi, może był jakiś niewiarygodny w działaniu i zwierzak się połapał? Tak więc Puziol musiał być pazerny, bo i oszczędności malutko i perspektywy nowej pracy dość mgliste. Skręciliśmy z London Road, wyciągnąłem czerwone Rizle, moje ulubione, zgrabnie zrolowałem dwa papieroski i delektowałem się chwilą. Mimo

popołudniowej pory słońce nie przestawało prażyć, ale raz po raz czułem na twarzy powiew przyjemnego zefirka od strony morza, było bardzo przyjemnie. „Taki porządny diskmen...” – Puziol przeglądał właśnie zawartość wózka, ja również zerkąłem ciekawie, dzisiejszą wystawkę można było uznać za umiarkowanie udaną. – „Czemu ci angole to wszystko wypieprzają, nie rozumiem ich...” – zasępił się w filozoficznej pozie, wyglądał przez chwilę bardzo mądrze. „W dupach im się poprzewracało od tego bogactwa!” – tego wybuchu złości można było się spodziewać; przypomniał sobie pewnie położenie, w którym się znajdował – „Kuźwa! Rdzę się łatwo da usunąć, w środku trochę przeczyścić i będzie jak nowy! Ale nie, jedna plamka i na śmieci wyrzucają, idioci!” – splunął z pogardą. „Stać ich na nowe, to wyrzucają...” – wtrąciłem nieco prowokacyjnie, bo lubię, szczerze mówiąc, tak czasem powiedzieć coś na przekór Puziolowi. Nie, nie jestem złośliwy, ale uważam, że z różnicy poglądów wynikają ciekawe polemiki, po których można wyciągnąć konstruktywne wnioski, Puziol jednak traktuje każdą moją negację jako atak na jego cześć, honor i godność. Tym razem nie zareagował jednak, widocznie miał jakiś interes. „Wracamy przez Buckley?” – spytał niby nieśmiało, ale pewnym siebie wzrokiem świdrował mnie. „Zakazany region...” – zacząłem moralizatorski wywód, Puziol był jednak na to przygotowany, bo po chwili przerwał gwałtownie. „Tylko wrócimy przez Buckley, taki spacerek sobie zrobimy, nic więcej, spacerować po Buckley jeszcze nikt nam nie zabronił!” – wyrzucił z siłą karabinu maszynowego. Buckley była reprezentacyjną dzielnicą miasta, pełną zieleni i olbrzymich, przestronnych willi, ogrodzonych wysokimi murami, które upewniały przeciętnego przechodnia, że właściciel jest z pewnością jakąś ważną i znaczącą osobą. Gadżety wystawiane przez bogaczy też były efektowne. To nie jakieś kubki z napisem „Mom I love you”, żadne ohydne gazetki pornograficzne, stare odtwarzacze na kasety VHS, czy kije golfowe, nic z taniego badziewstwa, którego pełno mieliśmy w wózku. W dzielnicach VIP-ów nawet śmieci muszą być ekskluzywne. Dlatego właśnie nasz

narkotycznie wesoły paser, Pedro z Będzina, powiedział kiedyś: „O Buckley zapomnijcie! To teren Pastuchów!”

Pastuchami nazywano w Greensted Albańczyków. Określenie to jest ewidentnie obelżywie, lub choćby pogardliwe, lecz tak naprawdę głównym uczuciem reszty emigrantów w stosunku do przybyszów z Tirany i jej okolic był lęk. Bo to właśnie Albańczykom udało się stworzyć w Greensted najmocniejszy mafijny syndykat w mieście, to oni zawłaszczyli sobie najbardziej dochodowe branże przestępczego świata, handel dokumentami, narkotykami i stręczycielstwo, Polakom i Litwinom łaskawie zostawiając mniej dochodowe gałęzie mafijnego biznesu. Ale skąd określenie Pastuchy, tego nie wiem... Trzeba przyznać, że greenstedscy rodacy wykazują się olbrzymią kreatywnością w tworzeniu słów, określających przedstawicieli konkretnych państw. Wiele nacji obdarowaliśmy skromnie, trochę po macoszemu, tworząc od nazwy mieszkańca danego kraju ledwie zgrubienia. Anglik w ustach polskiego emigranta nigdy nie będzie nikim innym, jak tylko „angolem”. Liczna grupa nacji znad Tagu to po prostu „portugalce”, podobnie traktujemy Rosjan, którzy są pospolitymi „ruskimi”. Pretensje do losu mogą mieć również Grecy, ochrzczeni mało kreatywnie mianem „grekusów”. Ten brak pomysłowości rekompensujemy sobie w innych wypadkach. Niekiedy określenia wydają się banalne i pospolite, bo używane są w języku polskim już od dziesięcioleci. Są to głównie określenia pochodzenia kulinarnego. Do Czechów tak przyłgnęła już etykieta „pepika”, ewentualnie „knedlika”, że żadne inne przezwiska nie mają szansy zaistnienia. Podobnie jest z „makaronami”, ewentualnie „makaroniarzami”, choć to pierwsze określenie jest w Greensted w bardziej powszechnym użyciu. Dodać można do tej grupy także „zabojadów”. Lecz im bardziej odległa nam i egzotyczna nacja, tym większe pole do popisu ma wyobraźnia miejscowego Polaka. Mieszkańcy dalekiej Azji, Państwa Środka, Japonii, Korei, Wietnamu nie są już tylko zwykłymi „skośnymi” lub „żółtkami”. Zmiany językowe zaszły już bardzo daleko i rodak, gdy spytać go o pracę u

„żółtka”, kiwnie tylko z zakłopotaniem głową, aby po chwili zorientować się, że pytamy o „pokemona”, ewentualnie, tu starsze pokolenie, „ping – ponga”. Niektórzy dowcipnisie, drwiąc z nikłego wzrostu Azjatów, nazywają ich „kingsajzami”. Podobnie oryginalnie nazywamy przedstawicieli świata arabskiego. Wyraźnie zaznacza się tu kontekst religijny, stąd przezwisko „mahomety”, konkurujące z prymitywniejszym „abdullahy” i chamskim „benlady” i nieważne, że określany jest Chrześcijaninem, czy też Hinduistą – wygląd zewnętrzny ma w tym przypadku znaczenie priorytetowe. Najbardziej wulgarnym określeniem tej grupy jest słowo „brudasy”. Na przestrzeni lat doszło do przesunięcia geograficznego adresata tej obelgi. Kiedyś nazywało się tak czarnoskórych, którzy, być może w mniemaniu ludu znad Wisły, poprawili stan higieny osobistej do tego stopnia, że stali się li tylko „bambusami”, ewentualnie „zulugulami”, brudasami zostali więc przedstawiciele świata arabskiego. Zupełnie upiekło się Słowakom, Chorwatom, Litwinom oraz Węgom, których tylko nieliczne głupty nazywają „wągrami”.

„To niesprawiedliwe!” – wrzasnął Puziol niczym dziecko, któremu zabrano ukochaną zabawkę. „To niesprawiedliwe! Zobacz!” – zrozumiałem wreszcie przyczynę kolejnego ataku gniewu. Przed jedną z bardziej okazałych willi, na zielonym kontenerze leżała sobie leniwie piękna kamera cyfrowa, z lekko zarysowanym przyciskiem on-off. „Dlaczego Pastuchy mogą sobie zbierać takie sprzęty, a my musimy się babrać z jakimiś rakietami tenisowymi? Koniec tego! Ja się osobiście na to nie zgadzam! Zobacz! Za ten sprzęt moglibyśmy zgarnąć jakieś sto pięćdziesiąt funcików na łeba!” – wrzeszczał tak, że w okolicy zaczęły szczekać psy. Darł się dobre dziesięć minut, rzucał się miotał, przekonywał, bladł na twarzy i czerwieniał na przemian, stworzył kreację niczym tandetny aktor w serialu wenezuelskim, no i stało się. Tak! Nie oskarżajcie mnie pochopnie, każdy przecież ma chwile słabości i ja ją również miałem, zabręczało mi w uszach kilkakrotnie hasło-klucz: „sto pięćdziesiąt

funtów” i niczym żona Lota, która obejrzała się za siebie, wziąłem srebrne cacko w dłoń i ułożyłem delikatnie w wózku.

Po chwili przejechało auto. Spojrzeliśmy po sobie niepewnie, a twarz Puziola przez dłuższy moment zachowała jednolity kolor bladości. „Może to nie on...” – wydukał prawie szeptem kolega, lecz obaj doskonale wiedzieliśmy, że w ładnym, czarnym Mercedesie siedział Mustafa, albański szef wszystkich szefów, który niby handlował samochodami, lecz ta działalność była tylko przykrywką jego licznych brudnych interesów. Pomyślałem sobie wtedy o słupie soli...

## **Underground**

Dzień później czekałem po pracy na naszego pasera, Pedra, który skupywał od nas wystawkową zdobycz. Zapominałem powoli o dzielnicy Buckley, Mustafie, Puziolu i wszystkich przyziemnych problemach, relaksując się przy przyrządzaniu smacznego posiłku. Strasznie mi wtedy odbiło z tym gotowaniem, wpadłem w jakiś szal, amok, głupie pichcenie było dla mnie największą przyjemnością dnia! Może rekompensowałem sobie szykowaniem wykwintnych dań mało skomplikowaną pracę w jednym z lokalnych barów szybkiej obsługi, gdzie przez osiem godzin dziennie przysmażałem z obu stron jakiś ohydny wołowinowy placek, który później kolega, Mirek rodem z Pragi, podrywacz nad podrywacze, wrzucał do bułki i podawał angielskim tłusciochom. I dlatego przez te osiem godzin podsmażania placków, w smrodzie oleju, smażonej cebuli i przepoconych podkoszulków planowałem kolejne skomplikowane danie dnia. Smażyłem mielone mięso, pieczarki i paprykę, na ten miks czekał już w naczyniu żaroodpornym makaron, ser feta, obok przygotowany sos beszamelowy, którym zalewałem gotową do przypieczenia grecką musakę i pomyślałem sobie wtedy, że muszę jak najszybciej kupić sobie jakiś odtwarzacz płyt. Każdy kucharz-hobbysta doskonale wie, że najlepszym

towarzyszem w slalomie między garnkami i patelniami jest dobra muzyczka. Dobra! Cholera mnie brała na tę chałę zarzucaną przez lokalne radio, beznadziejna popowa papka działała mi na nerwy, przez co wylałem olej i pomyliłem cukier z solą, klnąc siarczyście. Queen. Raz na czas zagrali Queen, to była frajda, cukierkowe melodyjki, muzyczny przepych pełen blichtru na granicy operowego kiczu działał na wyobraźnię, dopieszczałem wtedy każdy element potrawy, celebrowałem z namaszczeniem nawet najprostszy akt pieprzenia sosu, czułem się niczym nadworny kucharz Jej Królewskiej Mości szykujący jakieś specjalite na wieczorny bal, miałem jednak przewagę nad wymagowanym kucharzem, wiedziałem bowiem, że w przeciwieństwie do niego, doskonale, iście królewskie danie, zjem sam. Oj, ciekawe, co powiedzieliby teraz na mój widok kumple z „Torquemady”? Sympatię do Queen musiałem przez kilka lat znajomości starannie ukrywać, był to niedopuszczalny obciach, muzyka niegodna basisty krakowskich Gansów, legendy kilku mrocznych lokali. Po rozpadzie bendu straciłem kontakt z chłopakami. Perła podobno w Dublinie na zmywaku zasuwa, Komar się rozpił, a Gregor chyba jakieś nowe projekty tworzy, gówniany kinder – metal dla szesnastek, no ale jemu zawsze bardziej zależało na dupach niż na muzie... O-Zone! Ciekawe, co powiedzieliby o O-Zone, o tych mołdawskich wieśniakach, których słuchać wolałem sto trzydzieści dwa razy od całego zachodniego nudziarstwa. No tak, jak się żyje metr pod ziemią, pracuje w smrodliwym barze ze smutnymi i przemęczonymi twarzami, wychodzi z nory jedynie na zakupy, wystawkę albo mecze piłkarskie nie ma mowy o kompromisie: albo słuchasz klimatów, z którymi możesz się całkowicie utożsamić, jakieś panczurskie wykrzykiwania pełne buntu, noł fjućzer, pieprzyć wszystko, nic nie ma sensu, albo uciekasz w nieosiągalną krainę blichtru, złotek, świecidełek, jakieś queen czy hiper kiczowaty, przesłodzony disko – dens, Scissor Sisters, coś w ten deseń... Nie ma mowy o półśrodkach, a tylko takie mogłem usłyszeć w Greensted FM, najsyfniejszej stacji radiowej na globie. O! Stary Frank poszedł na zakupy!

Poznałem po butach, całą ulicę jestem już w stanie rozpoznać po butach, to taki syndrom basement flat, naszej małej klitki w piwnicy. Obserwacja świata z perspektywy szczurzej, z nory możesz dojrzeć tylko buty przechodniów, kuźwa, jak nie lubię tej mety! No ale Puziol się uparł, że właśnie tu musimy mieszkać, tu jest tanio i koniec! Już wolałbym, tak jak stary Frank na drugim piętrze, oglądać od dołu srające ptaki na okno zastępujące sufit i dach budynku. Aj, jak tylko odłożę trochę kasy, wyniosę się z tego szczurolandu i znajdę przyjemny pokoik, koniecznie z ogródkiem i będę zapraszał wszystkich na grilla!

No, ale najpierw odtwarzacz płyt, tego radiowego dziadostwa nie zniosę! Chociaż nie, ten kawałek jest nawet w porządku, to ta panienka w czerwonej kiece na teledysku, fajny sound, trochę rasta klimaty, trąbki, zwracam honor! Sun is in a sky, oh why, oh why, would I wanna be anywhere else... No, ja też mógłbym być gdzieś indziej, choćby na drugim piętrze, tam gdzie Frank, panienczko w czerwonej kiece: ja bym I would! Hmm, ciekawe jak się dziewczę nazywa, kupiłbym sobie płytkę, gdy już kupię odtwarzacz...

Niestety, nie dosłyszałem, bo akurat w momencie, w którym spiker radiowy podał nazwisko mojej jedynej nadziei radia Greensted, wlaźł Pedro, a zaraz po nim Puziol, który znowu udawał, że szuka pracy, a tak naprawdę wykladał się pewnie po ławeczkach Town Park i jarał szlugi.

Pedro, wiecznie roześmiany, lub raczej rozweselony jakimiś dragami, rozpoczął oględziny towaru. Był szczupły, żyłasty, z nienaturalnie długimi rękami wbitymi zawsze w głębokie kieszenie, dziwacznie wysoko podniesionymi barkami i bujną, wielką i gęstą, lśniącą złotą czupryną, wyglądał zupełnie jak abstrakcyjne marzenie genetyka-szaleńca o skrzyżowaniu pająka ze lwem. Mimo dość przyjemnego i sympatycznego wyglądu **oraz** usposobienia negocjatorem był twardym. Spotkanie rozwijało się wiadomym torem – przyjemna i wesoła atmosfera, połączona z zasłyszonymi historiami, anegdotkami i ploteczkami z życia tutejszych Polaków przechodziła w trakcie oględzin towarów w stan napięcia i nerwowości. Punktem kulminacyjnym był

tradycyjnie wybuch wściekłości Puziola. „Ty żydzie!” – krzyczał na Pedra, a ja uśmiechałem się pod nosem, aryjsko-skandynawska uroda pasera nijak nie pasowała do zasłyszanego komentarza. Pedro ripostował spokojnie. „Słuchajcie, jeśli nie podoba wam się cena, nikt wam nie każe tego sprzedawać...” – stwierdzał, a my tylko bezradnie rozkładaliśmy ręce, wiadomo było, że to on jest panem sytuacji.

„Nienawidzę go!” – wyrzucił z siebie Puziol po wyjściu pasera, po czym wydzielił mi połowę doli. Było tego całkiem sporo, sto czterdzieści funcików, trzeba jednak przyznać, że większość kwoty zarobiliśmy dzięki precudnej kamerze cyfrowej. Obaj pewnie pomyśleliśmy o tym samym – o kurze znoszącej złote jaja, kurze o nazwie Buckley...

Obok nas, w podziemnym szczurzołandzie mieszkało jeszcze dwóch Polaków. Młodszy z nich, Kozak, był dość niskim, lecz bardzo muskularnym dwudziestolatkiem z przasną, bulwiastą twarzą, na której odczytać może nawet laik chłopskość jego, jak też jego ojców, dziadków... Zresztą – nie tylko z twarzy. Każdy jego gest, każde słowo wskazywało na wielowiekową spuściznę stanu, charakteryzującego się umiejętnością bardzo ciężkiej pracy za bardzo małe pieniądze, wygłaszaniem przy każdej okazji banalnych mądrości ludowych i głośnym bekaniem przy stole. Był dość opryskliwy i gburowaty; wynikało to z jego nieufności do obcych, których w swoim życiu przed emigracją pewnie się nie naoglądał. Wstydlivy i prosty w obejściu, odzywał się rzadko, lecz każde słowa, dokładnie przezeń ważone, wypowiadał bardzo autorytarnym tonem, stylem przypominając mędrców wioskowych wieszczących wojnę, powódź lub nieurodzaj, po czym zawstydzony swą odwagą spuszczał wzrok. W pracy nie był lubiany, ani przez Polaków, z którymi wciąż się kłócił, ani przedstawiciele innych narodów, którzy, przez swoją otwartość próbowali nawiązać z nim jakiś dialog. Kozak, poza kilkoma kluczowymi słowami, nie znał jednak angielskiego, więc każdą wesołą zaczepkę współpracownika traktował dogmatycznie jako obrazę i napaść na jego honor i godność i odpowiadał



niegrzecznie tymi nielicznymi, kluczowymi angielskimi słowami, z którymi zdążył się zaznajomić. Mieszkał z charyzmatycznym trzydziestolatkiem o ksywie De Niro. De Niro stawiając pierwsze kroki w naszym mieszkaniu zrobił duże wrażenie, roztoczył wokół siebie planowaną estymę, poważanie. Był wysokim gościem o czarnych oczach i ciemnych włosach, zaczesanych żelem do tyłu. Wyglądał groźnie – to fakt. Silna postura, ogromne łapsko, którym ścisnął każdego z nas i przede wszystkim fryzura, dzięki której przypominał amerykańskiego aktora, to wszystko wzbudzało pewien respekt. W jego wyglądzie było jednak coś komicznego. Może ten obfity piwny brzuch, niezgrabnie wyglądający spod obcisłej podkoszulki? Może czerwona, nalana twarz, już na pierwszy rzut oka zdradzająca alkoholowe tendencje właściciela? Może jego ubiór, białe buty sportowe i czyste skarpety zaciągnięte wysoko, aż za kolana, przez które przypominał wyrosniętego, niezgrabnego dzieciaka, urwisa z rysunków w książkach dla dzieci? Wyglądał czasem groźnie, czasem jednak głupio. Każdy jego gest był absolutnie zamierzony, hojne rozdawnictwo przywiezionych przezeń czerwonych Malborasów podkreślało jego szczodrość i serdeczną, koleżeńską naturę, łapy w kieszeni i charakterystyczna, wyprostowana sylwetka z falującymi ramionami informowały obserwatora o jego bezwzględności i pewności siebie, zaś często wykorzystywana w mowie grypsera, połączona z przesadnie używanym przekleństwem „kurwa” i innymi, bardziej oryginalnymi kombinacjami przeróżnych wulgaryzmów i rubasznych powiedzonek, mówiła nam o twardości jego charakteru. Wraz z Puziolem i Kozakiem szybko zaakceptowaliśmy tego eks-chuligana osiedlowego z łódzkich Bałut, nawet mimo jego wyraźnej wulgarności, niekiedy chamstwa, groźnego wyglądu i pewnej apodyktyczności. Mijający czas i nadmiernie spożywany alkohol, od którego był zdecydowanie uzależniony, po mistrzowsku obnażał jego wszelkie słabostki i ukazywał nam bardziej mroczne strony jego natury. Z każdym kolejnym wypitym trunkiem De Niro przeistaczał się w rozhisteryzowaną, starą babę, stawał się w naszych oczach niegroźną postacią

groteskową i tematem anegdot. Najgorszy był jednak jego stosunek do kobiet. De Niro nie widział bowiem nic krępującego w podejściu do obcego dziewczęcia na ulicy i złapania za piersiątko, lub czulego pogładzenia jej włosów. Próbował nieudolnie nawiązać z nieszczęsną jakiś kontakt werbalny, tak, że my wszyscy spod biało-czerwonego sztandaru, przewrażliwieni na punkcie polskości, Polaków i opinii o nich, zapadaliśmy się ze wstydu pod ziemię. Ciało kobiece było w jego mowie tematem wiodącym - popołudniami po pracy, gdy większą grupą wychodziliśmy na zakupy zoczywszy jakąś dziewczuchę wpadał w ekstazę. Klasyfikował każdą według specyficznego klucza. Płeć przeciwna dzieliła się na takie osobniki, które De Niro „zapiąłby od zakrystii”, którym „wjechałby na Hiszpana”, lub „wziąłby po bożemu”.

Obaj mieszkali w osobnym pokoju, lecz wszyscy w czwórkę większość czasu spędzaliśmy w kuchni, która stała się nieudolnym ekwiwalentem saloniku towarzyskiego, taką rzymską Agorą w skali mikro. W poprzednim tygodniu odkryliśmy nową rozrywkę: znaleźliśmy bowiem wraz z Puziolem na wystawce pierwszy podręcznik do ekonomii dla smarkaczy na początku lat dziewięćdziesiątych – grę eurobiznes, która zastąpiła starą rozrywkę, czyli grę karcianą makao. Najbardziej rozczarowany zmianą był Kozak – biedaczyna, ledwo co, po trzech tygodniach łamigłówek mózgowych, pojął mało skomplikowane zasady gry w karty, odniósł nawet pierwsze, nic nie znaczące zwycięstwo, a tu nagle przyszło mu uczyć się nowej gry... Nasze wieczorne sesje przy eurobiznesie przypominały dziewiętnastowieczne, najbardziej drapieżne, oblicze kapitalizmu. Umiejętność kalkulowania, zdolność negocjacji, czy nawet szczęście – to wszystko nie miało najmniejszego znaczenia. O sukcesie w konkretnej partii decydował po prostu mocny pęcherz. Gdy jeden z graczy nieopatrznie opuszczał rywala w wiadomym celu, mógł być pewien, że zostanie ograbiony przynajmniej z kilkuset dolarów oraz kilku hoteli. Łup zazwyczaj dzieliliśmy po równo. „Idę jutro z Mirkiem na dyskotekę...” – zagadnął mnie przy grze Puziol. On strasznie lubił trajkotać, w przeciwieństwie

do Kozaka, którego każde słowo wybijało z rytmu myślowego. Wtedy też popatrzył gniewnie, tym bardziej, że nie zauważył mojego pionka na swoim Sztokholmie. Niestety, kolejka przepadła, więc radośnie podjąłem temat. „To idź!” – odpowiedziałem jednak dość gburowato, bo De Niro podpierał mi Glasgow, w momencie, gdy planowałem skompletowanie całej Wielkiej Brytanii... „Nie idziesz? Chodź! Tym razem się uda! Zobaczysz, będziesz żałował, jak z jakąś blondaską tu wjadę w nocy... Oj, będziesz żałował...” – Puziol zaczął zachęcać coraz bardziej nachalnie, wybrał się nawet do pokoju, aby zaprezentować zakupioną specjalnie na okazje piątkowej dyskoteki podkoszulkę z niby-żartobliwym napisem „hard-cock”, który według Puziola, miał być pewnie gwarantem udanego podrywu. Miałem jednak swoje zdanie, podejrzewałem, że cały jego wypad z czeskim Casanovą skończy się kolejną głęboką frustracją Puziola i rozmowami o sensie życia na murku, w blasku księżyca. „Nie idę nigdzie!” – uciąłem temat, upewniwszy się, że De Niro razem z Kozakiem wybierają się na cały weekend do Londynu rozpieprzać ciężko zarobione pieniądze. „Cała chata dla mnie...” – pomyślałem wtedy z rozmarzeniem, na myśl o spokojnym i cichym piątku. „Eeeej! Wlazłeś mi na Wiedeń!” – wyrwał mnie nagłym okrzykiem Kozak, lecz nie przejąłem się zbytnio tym faktem...